



# VI BIEG RZEŹNIKA

O tym, że łańcuch jest tak mocny, jak jego najslabsze ogniwo wie prawie każdy, a kto chce sprawdzić mądrość płynącą z tego przysłowia może to z powodzeniem zrobić na trasie bieszczadzkiego Rzeźnika.

Jest w tym biegu coś szczególnego, coś co niektórych po jednej próbie zniechęca, mówiąc sobie „nigdy więcej”, a innych ciągnie tu z powrotem jak przysłowiowego wilka do lasu. Choć tak po cichu przyznać się muszę, że zdarzały się takie chwile gdy powtarzałem sobie w duchu „ostatni raz”, lecz tych obietnic danych sobie nie dotrzymałem już trzykrotnie i pewnie nie dotrzymam tej ostatniej także...

Wyjazd w Bieszczady nie był zwykłą podróżą na bieg i z powrotem. Była to prawdziwa wyprawa, której głównym celem co prawda był udział w ekstremalnej imprezie biegowej ale pięciodniowy plan pobytu zakładał zarówno tak zwany czas na aktywny wypoczynek jak i na normalne leżenie „bykiem”.



Po wielu godzinach spędzonych w korkach i na objazdach remontowanych dróg w środę dojeżdżamy do miejscowości Smolnik gdzie mamy nocleg w Zagrodzie „Chryszczata” nad rzeką Osławą.



Ostatnie lata doświadczeń w urokach noclegu Latarni Wagabundy w Woli Michowej utwierdziły nas w przekonaniu, że co prawda się da, ale podróżując z rodziną i chcąc wypocząć to już niekoniecznie...

W zagrodzie życie toczyło się swoim własnym tokiem i rządziło się swoimi własnymi prawami, a pory dnia wyznaczało tutaj chyba tylko położenie słońca na niebie.

Na pytanie, od której godziny są wydawane tutaj posiłki, gospodarz spojrział tylko na nas z wielką dezaprobatą stwierdzając filozoficznie, że tutaj się je jak się jest głodnym, a pije przez całą dobę.. ;).



Zewsząd otaczała nas dość specyficzna twórczość ludowa... ;)

Brak telewizora, radia i innych „otępiaczy” rekompensowaliśmy sobie obcowaniem z naturą i towarzystwem zwierząt i przyjaciół, a sporą dawkę rozrywki zapewniało choćby rąbanie drewna i palenie w żelaźniaku.



W czwartek rano nie mogąc dobrać Dominika (ile można spać?) aby się zarejestrować w biurze, pojechaliśmy na pobliski Majdan, gdzie znajdowała się stacja kolejki wąskotorowej. Dla towarzyszącego nam w podróży 7 letniego młodzieńca takie rzeczy to zupełna nowość i niezła frajda, więc sprawę zagospodarowania przedpołudnia mieliśmy już z głowy.



Po drodze odwiedzamy Cisną gdzie znajdować się będzie jutrzejsze miejsce drugiego przepaku. Przechodząc przez żelazny most kolejowy w kierunku czerwonego szlaku stwierdzamy, że jest mokro i dajemy sobie spokój nie podejrzewając nawet, że tak „suchy” szlak widzieliśmy dzisiaj po raz ostatni...



Zanim o godzinie 16 zjawimy się w biurze zawodów zwiedzamy jeszcze mini zoo, co rusz napotyając po drodze kolejne perełki bieszczadzskich, jakże uroczych klimatów.



Stojąc w dłuugiej kolejce po numer i pakiet startowy dowiadujemy się od Dominika, że jesteśmy jedną z bodajże 13 ekip posiadających numery mianowane (?). To super mówię, zachodząc jednocześnie w głowę, co do cholery to znaczyć może?... Okazuje się, że jest to numer, na którym widnieje nazwa drużyny, a kolejna cyfra jak wydedukowałem wzięła się z zajętej pozycji w roku ubiegłym.



Po rozmowie ze znajomymi, wypiciu piwa i zjedzeniu makaronu na pasta-party, nadszedł czas na przygotowania do jutrzejszej wyprawy. Już w drodze do Smolnika niebo zrobiło się granatowe nie wróżąc nic dobrego.



W strugach ulewnego deszczu docieramy do naszej zagrody, gdzie siedząc wygodnie na werandzie obserwujemy jak krople deszczu zmieniają się w kawałki lodu (!) bębniąc niemiłosiernie po blaszanym dachu i naszym samochodzie potęgując w ten sposób grozę burzy. Jak to dobrze, że teraz pada, a nie jutro- stwierdzamy jednogłośnie. Wypada się dzisiaj to jutro będzie pogodnie. Jedno co nas martwi to widok płynącego nieopodal strumienia toczącego coraz zwawiej swe brunatne wody. Po takiej ulewie na stokach szlaku jakim przypadnie nam już za kilka godzin wędrować będzie naprawdę ślisko. Nie ma takiej siły, która by sprawiła aby to obeszło do rana.

Po zaledwie kilku godzinach snu, przerywanego przez głuchoe odgłosy pomruków krążącej gdzieś burzy, odgłos budzika o 1:30 był jakimś zupełnie abstrakcyjnym zjawiskiem, zupełnie nie pasującym zarówno do otoczenia jak i do pory dnia czy raczej nocy.. Rzeczywiście, niewiele osób zdaje sobie sprawę z istnienia takiej godziny.

To co zastajemy po wyjściu z ciepłego barłogu nie napawa optymizmem i nadwyręza i tak już wątle o tej porze morale drużyny.

Nie wierzę, to chyba jakieś Déjà vu! Mam odczucie, że przeżywana obecnie sytuacja wydarzyła się już kiedyś, a wręcz graniczy z pewnością. Pamiętny start 1 lipca 2006 roku w strugach deszczu i chłodzie... brrrr! Nie mogę pozbyć się tamtego wspomnienia, a padający deszcz nie ułatwia mi tego zadania. Na szczęście temperatura wynosi ok + 12 stC, a więc nie jest taka zła, tylko to stałe kapanie za kołnierza... Dojeżdżamy do Woli Michowej skąd już busem docieramy na miejsce startu w Komańczy. Niemal wszyscy siedzą w busie do ostatniej chwili, przedłużając w ten sposób to, co i tak nieuchronne. W czapkach, kapturach, pelerynach i panujących o tej porze ciemnościach rozświetlanych tylko przez światło czołówek

uczestników, trudno jest odnaleźć znajome twarze, dbając raczej o to aby nie zgubić w tym tłumie swojego kompana.



W piątek 12 czerwca na starcie staje do wspólnej rywalizacji aż 185 drużyn, czyli łącznie 381 uczestników. Sygnał do startu o wschodzie słońca - godzina 3:24 (He, He...słońca, dobre sobie ;) dał wójt gminy Komańcza strzelając z rewolweru nabitego czarnym prochem. Pomimo starań nie udaje mi się długo doświadczać komfortu suchych skarpetek, że o innych częściach garderoby nie wspomnę. Wyjątkowo liczna obsada tegorocznej VI edycji Rzeźnika sprawia, że stawka długo nie potrafi się rozerwać na pojedyncze zespoły i następują ciągłe przetasowania, szczególnie na przepakach, gdzie duże znaczenie miał czas spędzony na poszczególnych postojach. Na pierwszy punkt znajdujący się na Przełęczy Żebraka docieramy po pokonaniu niespełna 17 kilometrowego odcinka trasy. Mijamy go jednak niemal z marszu, gdyż będąc aż nadto nawadniani z zewnątrz nie bardzo nam wchodzi woda wlewana jeszcze do wewnątrz. Pierwszy nieco dłuższy postój mamy zaplanowany po pokonaniu 32 kilometrów w Cisnej, gdzie prawie zgodnie z założeniami jesteśmy po 7:30.

O tej porze umówiliśmy się tam z naszymi żeńskimi serwisantkami i mogliśmy założyć chociaż suche skarpetki, które sprawiały, że świat wydawał się przez to o wiele lepszy niż był w rzeczywistości.



Teraz czekał nas najdłuższy, bo aż 24 kilometrowy odcinek do następnego przepaku jakim był Smerek. Tutaj jednak gubi nas rutyna. Pamiętając miejsce, w którym zeszłego roku pomyliliśmy trasę idąc prosto przez przecinającą szlak drogę i wchodząc do prowadzących do nikąd zarośli, tym razem postanowiliśmy nie dać się ponownie wyprowadzić w pole. Choć wydeptana ścieżka sugeruje, że jednak tędy prowadzi droga, my skręcamy w lewo i szukamy ponownego wejścia na szlak w innym miejscu ale bezskutecznie... Wracając tracimy cenny czas i dokładamy drogi długo zachodząc w głowę jak można było być takim ignorantem?

Nie my pierwsi zapewne i nie ostatni, pocieszamy się wzajemnie. To chyba najtrudniejsza dla nas część wyścigu, w skład której wchodzi nie mający wydawałoby się końca odcinek wijącej się serpentyną „drogi Mirka”, mając podróżnych wizją rychłego jej końca za każdym mijanym zakrętem. Gdzieś po drodze, nie wiem nawet kiedy, deszcz przestał padać i uśmiechnęło się do nas słońce zmuszając do zdjęcia kurtek, co zresztą zrobiliśmy z ochotą i bez większych oporów. Wreszcie jest upragniony punkt gdzie po 56 kilometrach w nogach odczuliśmy niepohamowaną ochotę na nieco odmienną strawę niż batony energetyczne o smaku płyty wiórowej z lepikiem. Nasze dziewczyny też nie próżnowały, wykorzystując czas oczekiwania, na krojenie i smarowanie całego kosza bułek przygotowanych dla wszystkich przybywających.



Po solidnym posiłku, kolejnej wymianie skarpetek i koszulek, wyruszamy już w znacznie lepszych humorach w dalszą drogę.



Ta jednak, nie dość, że uprzykrzała się nam wszechobecnym bieszczadzkim błotem, swym kolorem i konsystencją przypominającym problemy natury gastrycznej to jeszcze wciąż uparcie wiodła pod górę. Nie bez przyczyny podejście pod Smerek jest uważane za najcięższe w całym biegu. Teraz dla odmiany zaczynają się odkryte tereny Połoniny Wetlińskiej. Spodziejając się porywistego wiatru z jakim przychodziło nam się już tutaj poprzednio zmagać, zawczasu ubieramy kurтки, które jednak ku naszemu zaskoczeniu nie były potrzebne, gdyż jak na Połoniny było w tym roku tutaj nader spokojnie.



Ostatni punkt regeneracyjny znajdował się w Berehach Górnych czyli na blisko siedemdziesiątym kilometrze trasy. Stąd już tylko niby rzut kamieniem - niespełna 9 kilometrowy ostatni odcinek trasy wiodący przez grzbiet Połoniny Caryńskiej.



To „niby” jest jednak dla niektórych ekip przysłowiową kroplą przepelniającą czarę goryczy. Nas widocznie popychała do przodu wizja zbliżającego się końca tej wyczerpującej podróży, gdyż na tym właśnie odcinku mijamy chyba jeszcze z 4 drużyny. Wynik 12 godzin i 37 minut oraz zajęte 33 miejsce nie powalają może na kolana ale były wyznacznikiem naszych możliwości i daliśmy z siebie tyle na ile było nas w tym wyścigu stać.



Przy tworzeniu drużyny należy pamiętać o przytoczonym na wstępie przysłowiu. Tu nie ma miejsca na podziały - mocny i słaby. Rozrywając jedno ogniwo niszczymy cały łańcuch,



więc spójność i dopasowanie jest tutaj czynnikiem gwarantującym przetrwanie. Dla większości jednak startujących samo ukończenie wyścigu było już wygraną chociaż nie miały wpływ na rezultat wywarł też czynnik wspólnej rywalizacji.

Dodatkowo 8 uczestników pokonało trasę Rzeźnika w wersji HARDCORE, a to sztuka nie lada powiedzieć sobie na mecie „Idę dalej” gdy większość już odpoczywa.

Bieg ukończyło 140 drużyn czyli 291 zawodników, w tym 8 kobiet. Jak łatwo policzyć do mety nie dotarło 90 osób. Nie znaczy to wcale, że ci wszyscy, którzy dotarli do mety zechcą podjąć ponowną próbę za rok, a ci co nie ukończyli z tej próby zrezygnują. To próba zarówno sił, kondycji i uporu ale niemniej ważna także próba charakteru i przyjaźni. Dlatego też widok „par” wędrujących osobno był dla mnie czymś niezrozumiałym pomijając już wymogi regulaminowe.

Zakończenie imprezy odbyło się już tradycyjnie w Latarni Wagabundy w Woli Michowej gdzie najlepszym drużynom wręczono nagrody ufundowane przez firmę Gore oraz firmy Alpinesport i Northface.



Dla nas nie jest to jednak koniec przygody z Bieszczadami i chociaż następny dzień wita nas znowu deszczowo, postanawiamy go pomimo bolących mięśni spędzić aktywnie. Już samo wejście na górę Cergową gdzie znajduje się miejsce kultu św. Jana z Dukli wymaga niemałych wyrzeczeń, że o zejściu nawet nie wspomnę. Dobrze, że ze skały w grocie wypływa cudowne źródło zwane "Złotą Studzienką". Miejsce to wraz z kaplicą jest związane ze św. Janem z Dukli, który wiódł tu pustelnicze życie. To niewątpliwie dodaje nam sił witalnych na resztę dnia.





W kaplicy jako Sekretarz klubu dokonuję wpisu w księdze pamiątkowej nie zauważając nawet, że w rubryce „Diecezja” wpisałem WKB META LUBLINIEC. Teraz się Prezes będzie miał z czego tłumaczyć w kurii ;)



Data	Miejscowość	Diecezja	Liczba osób	Opiekun
13.06	Jwonice	Przemyska	3	[signature]
13.06	Legionowo	Praska	2	[signature]
13.06	Jazg, Juszar, Zdmj	Jwonicki W. 50	1	OT2
13.06	Przemyska Katedra	Przemyska	9	Am
13.06	Krośno	Przemyska	40	Hucwis
13.06	Przeszów	Przeszowska	4	Chleb
13.06	Wielka	Przemyska	4	Chleb
13.06	Przemyska Katedra, Kłosa, Ródek, pu. Su. Oco	Przemyska	9	[signature]
13.06.09	Sędzi A.K. META, PRZEMYSKI ZIT Lublin	WKB META LUBLINIEC	5	[signature]

W samej Dukli odwiedzamy Muzeum Historyczne z plenerową ekspozycją broni pancernej, która największe emocje wzbudza w naszym siedmiolatkcu, choć nie tylko...



Resztę deszczowego popołudnia spędzamy regenerując siły przed kolejnym dniem, w którym czeka nas małe wybieganko na półmaratonie w Rudawie, ale to już temat na odrębną opowieść...



Krzysztof Szwed „KRIS”